

Jacek Koronacki

O Ameryce inaczej

Ameryka doświadcza głębokiego kryzysu społecznego, który – zrazu niezauważalny – zbliżał się nieuchronnie od dziesiątków lat. Kryzys ów, a właściwie społeczny rozpad na fundamentalnie różne społeczności ujawnił się podczas ostatniej kampanii wyborczej, by zaowocować wyborem na 45. Prezydenta Stanów Zjednoczonych populisty Donalda Trumpa. Przyszły Prezydent ośmielił się przypomnieć rodakom hasło sprzed prawie dokładnie 77 lat „Najpierw Ameryka” (*America First*). Zwycięstwo outsidera nienależącego do establishmentu było efektem buntu dużej części amerykańskiego narodu, głównie należącej do szeroko pojętej klasy średniej, którą to społeczność Hillary Clinton była łaskawa nazwać nieuleczalnym ciemnogrodem (*irredeemable deplorables*). Mimo ogromnych wysiłków klasa polityczna nie była w stanie zapanować nad tym buntem.

Walka z Donaldem Trumpem przed jego wyborem na Prezydenta była łagodną przygrywką do tego, co obserwujemy dzisiaj. Zwolennicy Prezydenta zgoła rozsądnie podejrzewają, że bezpardonową wojnę z nim prowadzi tzw. głęboko ukryte państwo (*deep state*) – pracownicy rządowej administracji, wywiadu, sektora bezpieczeństwa państwowego, część najwyższej rangi przedstawicieli świata finansów i biznesu, wszyscy z pomocą „szczebiotliwej klasy” (większości mediów i społeczności uniwersyteckiej). Trudno inaczej wytłumaczyć wielość i źródła przecieków mających skompromitować Trumpa, czy nieustające naciski na postawienie go w stan oskarżenia mimo niemożliwości znalezienia jakiegokolwiek pretekstu oskarżenia uzasadniającego. Znane są też oświadczenia urzędników o sabotowaniu przez Departament Stanu zarządzanych przez Prezydenta działań na rzecz poprawy stosunków z Rosją (nie ma tu nic do rzeczy, że ów sabotaż może Polaków radować).

Ciekawe czy zupełnie nieoczekiwana zmiana o 180 stopni stanowiska Prezydenta Trumpa wobec Arabii Saudyjskiej w stosunku do tego, co mówił rok temu, nie jest jego ustępstwem wobec „głęboko ukrytego państwa”. Na pewno odpowiada tym, którzy chcą kontynuacji awanturniczej polityki wobec Bliskiego Wschodu, zbrojnej tam obecności USA i popierania sunitów, w tym wahabitów, przeciw szyitom. Oraz na pewno jest trudną do wybaczenia zdradą wobec tych, którzy na Donalda Trumpa głosowali, mają dość wojen nie do wygrania i niepotrzebnych, amerykańskich ofiar, wielomiliardowych kosztów i nienawiści do Ameryki.

Historyk Henry Adams, wnuk Prezydenta Johna Quincy’ego Adama, pisał w 1870 roku, iż „rząd nie rządzi”, zaś „Kongres jest nieefektywny i coraz bardziej niekompetentny”. Już wtedy historyk ów przyczyny tego stanu rzeczy upatrywał w strukturalnej niemożności zachowania konstytucyjnego ładu, którego fundamentem miała być zasada równowagi i wzajemnej kontroli trzech gałęzi rządu (władzy ustawodawczej, sądowniczej i wykonawczej). Ale taka zasada nie mogła działać, gdy władza rządu nad krajową ekonomią była już zbyt wielka, na rząd naciskały różne grupy interesu, rząd zatrudniał w owym czasie około 50 000 urzędników, zaś prezydenckie nominacje na wyższe stanowiska w ministerstwach i rządowych agencjach służyły wzmocnieniu jego politycznej roli i nie miały związku z kompetencjami nominatów.

Ratunku zaczęto upatrywać, chwilowo z niezłym skutkiem, w oddaniu codziennej władzy służbie cywilnej ekspertów. Tak zaczęła się – u schyłku XIX wieku – tzw. postępową erą. Od

końca XIX wieku zaczęła być w USA tworzona czwarta władza – administracja. Zbiór federalnych regulacji liczył w 2012 roku 174 545 stron (nie licząc prawa podatkowego grubości więcej niż czterech Biblii, ustaw Kongresu oraz wykonawczych zarządzeń Prezydenta). Jak to nazwał wybitny znawca społecznych problemów Ameryki, Charles Murray, w USA zapanował system prawa ufundowanego na bezprawiu.

Wraz z nastaniem postępowej ery w USA zadomowiła się postępowo inżynieria społeczna. Doszło do tego bardzo szybko na najlepszych amerykańskich uniwersytetach, wśród tzw. intelektualnych elit, ale – poza światem polityki i ekonomii – zasięg jej oddziaływania był dość długo ograniczony. Na przełomie lat 60-tych i 70-tych XX wieku ruch nabral rozmachu.

Dużo wcześniej, wraz z dojściem do władzy Franklina D. Roosevelta nastąpiły w Stanach Zjednoczonych lata słusznie niekiedy nazywane różową dekadą. Ameryka wkroczyła na drogę swego rodzaju rewolucji ekonomicznej. Proklamowany przez Roosevelta "nowy ład" nie był pomyślany jako doraźna odpowiedź na wielki kryzys przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, ale miał zapowiadać trwałą rezygnację z wolnego rynku i rządów o możliwie ograniczonych kompetencjach na rzecz państwa opiekuńczego, z rządem sprawującym bezwzględna kontrolę nie tylko nad sprawami bezpieczeństwa, prawa i porządku, lecz, może przede wszystkim, także nad ekonomią. Rychło oczywiste stały się prokolektywistyczne sympatie Prezydenta. W jego otoczeniu pojawili się byli(?) socjaliści i kryptokomuniści.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze, gdy w połowie lat trzydziestych Stalin zorientował się, że może wykorzystać głupotę i naiwność elit inteligenckich Zachodu, i nakazał pryncypialną wrogość wobec „imperialistycznego Zachodu” zastąpić swoiście pojętą przyjaźnią wobec „zachodnich demokracji”. W przypadku Stanów Zjednoczonych oznaczało to wyrośnięcie jak grzyby po deszczu tak zwanych „organizacji frontowych”, czyli stowarzyszeń popierających cokolwiek, równouprawnienie kobiet czy Murzynów, ruch antywojenny czy antyfaszystowski, byleby pociągających dla wielu z nazwy i dowodzonych przez tajnych członków lub sympatyków partii komunistycznej. Organizacje frontowe służyły popularyzowaniu „postępowych” idei na uczelniach i, w konsekwencji, ułatwiały przenikanie wpływów komunistycznych do niektórych kręgów społeczeństwa amerykańskiego, zwłaszcza ruchu związkowego oraz środowisk uniwersyteckich, twórczych i dziennikarskich. Ludzie o sympatiach prosowieckich znaleźli się we wpływowych kręgach politycznych, lub wręcz w administracji państwowej.

Wpływy komunistów i ich sympatyków w kołach rządowych USA nie skończyły się wraz ze śmiercią Roosevelta. Prowincjonalny senator Joseph R. McCarthy miał rację doprowadzając w roku 1950 – jakkolwiek nieporadnie – do przesłuchania przed specjalnie do tego powołaną senacką komisją pracowników Departamentu Stanu podejrzewanych o sympatię dla komunizmu lub bycie (krypto-) komunistami.

Niestety, establishment Partii Demokratycznej i, nade wszystko, „intelektualiści” opowiedzieli się przeciwko idei oczyszczenia administracji z wpływów komunistycznych i rozpoczęli natychmiast walkę z McCarthym. Całe przedsięwzięcie musiało ulec swoistej degeneracji. Po pierwsze, nie było szans na w pełni skuteczne przeprowadzenie „dekominizacji”. Po drugie, było jasne, że w powstałej sytuacji stanowisko McCarthy'ego będzie się radykalizować, że z czasem zamiast racji pojawi się fanatyzm, natomiast rzetelne i stosunkowo nieliczne śledztwa zostaną zastąpione przez prowadzone na dużą skalę polowania na czarownice. W roku 1954 McCarthy został potępiony przez Senat Stanów Zjednoczonych i niecałe trzy lata potem zmarł jako alkoholik. Przy okazji, amerykańscy postępowcy upiekli po cichu jeszcze jedną pieczeń – prawie zupełnie, na całe lata wyeliminowali konserwatystów z uniwersytetów.

Rok 1968 przyniósł lewacką rewoltę na uniwersytetach. Nieco wcześniej taka sama rewolta ogarnęła populację czarnoskórych Amerykanów. W latach 70-tych XX wieku społeczny rozpad Ameryki stał się faktem. Zbyt wielka władza skupiona w rękach polityków zaczęła służyć nie tylko znanym

„od zawsze” grupom interesu, nade wszystko światu finansów i wielkiego biznesu, który dziś ma interes globalny i nie obchodzi go dobro amerykańskiego narodu. Władza ta służy dziś także nowej grupie nacisku, tym razem (nie)moralnego, zrodzonego z tradycji progresywizmu, który szybko przyjął oblicze ultra-postępowej inżynierii społecznej. Z tej to tradycji wzięli się Barack Obama i za swoją przyjęła ją Hillary Clinton.

Kiedyś rewolucja menedżerska przewidziana jeszcze przed drugą wojną światową przez Wilfryda Pareta i Gaetana Moscę, a ostatnio niezwykle dynamiczny rozwój technologiczny zrodziły nową klasę wyższą – merytokrację. Ta nowa klasa wyższa przyjęła z czasem za swój język liberalizmu i politycznej poprawności, przez co straciła zdolność czynienia właściwych rozróżnień. Jak cały Zachód, przestała się sama rozumieć. Tym samym, średnia klasa Amerykanów została zostawiona sama sobie w kraju, którego elity nie reprezentują własnego narodu i odrzuciły misję przewodzenia mu. Elity wiedzą tylko, iż są po to, by panować.

Duża część społeczeństwa amerykańskiego dostrzegła w końcu, że amerykańska władza nie reprezentuje jej interesów. Wie, że rząd lekceważy i gwałci amerykańską tradycję społeczną i amerykańskie dziedzictwo, w tym dziedzictwo samorządności. Wie też, że rząd tak powiększył zakres swojej władzy, w tym władzy niewybieranych przez obywateli sędziów Sądu Najwyższego, i tak rozbudował federalną biurokrację, iż praktycznie obywatel nie ma żadnego wpływu na ten rząd. I stąd zrodził się bunt, który wyniósł do władzy Donalda Trumpa. A ci, którzy uznają się za namaszczonego do rządzenia Ameryką i światem muszą go zniszczyć.

Czerwiec 2017

Autor jest profesorem nauk technicznych, dr. hab. nauk matematycznych, publikował m.in. w „Arcanach” „Teologii Politycznej co Tydzień” i „Rzeczpospolitej”. W 2015 wydał zbiór miniesejów o amerykańskim konserwatyzmie na progu XXI wieku.